

**Starówka**  
**i... wehikuł czasu!**





**Projekt „Starówka i... wehikuł czasu!”  
sfinansowało m.st. Warszawa**



# **Starówka** **i... wehikuł czasu!**

**Monika  
Demczyńska  
Paweł  
Łoś**

**Warszawa**

**2020**

**Stowarzyszenie Przewodników Turystycznych „Złota Kaczka”**



## **Do małych i dużych Czytelników**

Co prawda nikt zdaje się nie zbudował jeszcze maszyny do podróży w czasie, ale o odwiedzaniu przeszłych i przyszłych epok pisano od starożytności. Przenosili się w czasie mędrzec Epimenides z Krety i skąpy Ebenezer z „Opowieści wigilijnej” Karola Dickensa, zaglądali w przeszłość – niczym w lustro – bohaterowie „Zwierciadlanej zagadki” pióra Jadwigi Łuszczewskiej. Niniejsza książeczka powstała dla tych, którzy chcieliby wiedzieć ile ważyła średniowieczna cegła i jak stawiano kolumnę króla Zygmunta Trzeciego, a także dla tych, którzy chcieliby spotkać Fryderyka Chopina i Marysię Skłodowską (jeszcze nie Curie). Przygodę książeczkową można przejść na dwa różne sposoby, a ilustracje można (a nawet powinno się!) pokolorować. Życzymy Wam miłej zabawy!

Aha – na samym końcu książeczki jest dyplom za starówkową podróż w czasie z miejscem na imię (lub imiona) i miejscem na narysowanie buzi (albo kilku buziek). Świetnie nadaje się do tego, by zawiesić go na ścianie i chwalić się przed innymi swoją wiedzą o Warszawie!

Autorzy

Nasze Stowarzyszenie Przewodników Turystycznych „Złota Kaczka”  
otrzymało w 2015 roku Nagrodę Miasta Stołecznego Warszawy  
w uznaniu zasług dla Stolicy Rzeczypospolitej Polskiej.

## POCZĄTEK

Drzwi otworzył wujek Ambroży, bo któżby inny?

– Witajcie, dzieciaki! – zawołał, trzęsąc długą brodą. – Jak się macie?

Wejdźcie, wejdźcie! Co was sprowadza? A, nieważne, zawsze jesteście mile widziani.

Tylko Fafika trzymajcie na smyczy, żeby nie narozrabiał.

Fafik to piesek – mały, biały, ma czarne łatki i jest zbzikowany, wszędzie go pełno. Dzieciaki to Antoś i Basia. Wujek to wujek, mieszka pięć minut spacerem od domu Antosia i Basi i jest znanym wynalazcą. Pracuje w laboratorium gdzieś na krańcu miasta, ale często siedzi w domu i rozmyśla nad nowymi pomysłami.

– Przynieśliśmy ci zupę pomidorową, wujku. Podobno nie umiesz gotować i zapominasz o obiedzie, a to niezdrowo.

Wujek Ambroży podrapał się po nosie, wziął pojemnik z zupą i spojrzał znad okularów.

– Hm, hm. Bardzo wam dziękuję. W zamian możecie zajrzeć do pokoju i zobaczyć, nad czym pracuję. Tylko Fafika trzymajcie, ja zaniósę to do kuchni.

Antoś i Basia nie mogli uwierzyć własnym uszom. Wujek Ambroży nigdy wcześniej nie pozwolił im wejść do swego pokoju ot tak – owszem, zaglądali do środka, ale tylko przez uchylone drzwi. Żadne nie postawiło do tej pory stopy na białym dywanie, zawałonym rozrzuconymi papierami i książkami.

Żadne nie przyglądało się do tej pory z bliska dziwacznym, burczącym i pikającym maszynom oraz wielkim monitorom zajmującym długi blat biurka. Wujek musiał być dziś w wyjątkowo dobrym humorze.

Podeszli bliżej.

– Pracuję nad mostem Einsteina i Rosena i chyba jestem bliski jego zbudowania! – oświadczył dumnie wujek Ambroży, stając w drzwiach z talerzem zupy.

– Mówiłeś że jesteś fizykiem od myślenia, a nie inżynierem od budowania mostów, i to jeszcze nie swoich – powiedział Antoś.

Wujek zaśmiał się.

– To taki most, którego nie widać – powiedział. – Wymyślili go dawno temu panowie Albert Einstein i Natan Rosen, a ja go buduję na tych kartkach i w komputerze. Niby niewidzialny, ale można by nim było na przykład przetrzucać paczki z zakupami ze sklepu prosto do domu, bez jeżdżenia samochodem albo czekania na kuriera.

– Ciekawe – powiedziała Basia. – Dla mnie to bardziej dziura między sklepem a domem niż most.

Wujek pokiwał z uznaniem głową.

– Chętnie wam o tym poopowiadam, tym bardziej, że zanoszą się na deszcz. Ba, nawet na letnią burzę – dodał, wyglądając przez okno. Rzeczywiście, czyste od rana niebo zaciągnęło się nie wiedzieć kiedy granatowymi chmurami. Powiał wiatr, o parapet zadudniły pierwsze wielkie krople. Błysnęło i zagrzmiało.

Basia pisnęła, Antoś podskoczył, Fafik schował się pod biurkiem, a wujek Ambroży zmarszczył czoło i spojrzał na wyciągnięte z kieszeni coś, co wyglądało





**TO JEST  
FAFIK**



**TO JEST  
WUJEK AMBROŻY**

jak czarny pilot do telewizora. Mała dioda na tym niby-pilocie zaczęła nagle migać na czerwono i wydawać dźwięk „pik, pik, pik”.

– Co to jest? – zapytała Basia.

– Hmm... – odparł wujek. – To jest otwieracz do tego niewidzialnego mostu, nad którym pracuję. Ale to bardzo dziwne, otwieracz nie powinien świecić ani pikać, nie powinien działać! Może ten piorun...

Ukryty pod biurkiem Fafik zaczął nagle głośno ujadać.

– Fafik, spokój! – krzyknął Antos, ale piesek rozjazgotał się jeszcze bardziej. Wujek Ambroży schylił się, zajrzał pod biurko i ze zdumienia wypuścił z ręki pikającego niby-pilota.

– To... to niemożliwe... – wyszeptał.

Pod biurkiem zamiast ściany była dziura. Nieduża, ale widać było przez nią zieloną łąkę, las i grupkę rycerzy siedzących wokół ogniska. Przez dziurę popłynął do wujkowego pokoju zapach sosen, ziół i pieczonych kiełbasek. Wiecznie głodny Fafik wybałuszył ślepka, chwycił w zęby leżący na podłodze otwieracz do niewidzialnego mostu i wskoczył do dziury. Po chwili biegł już przez trawę po drugiej stronie.

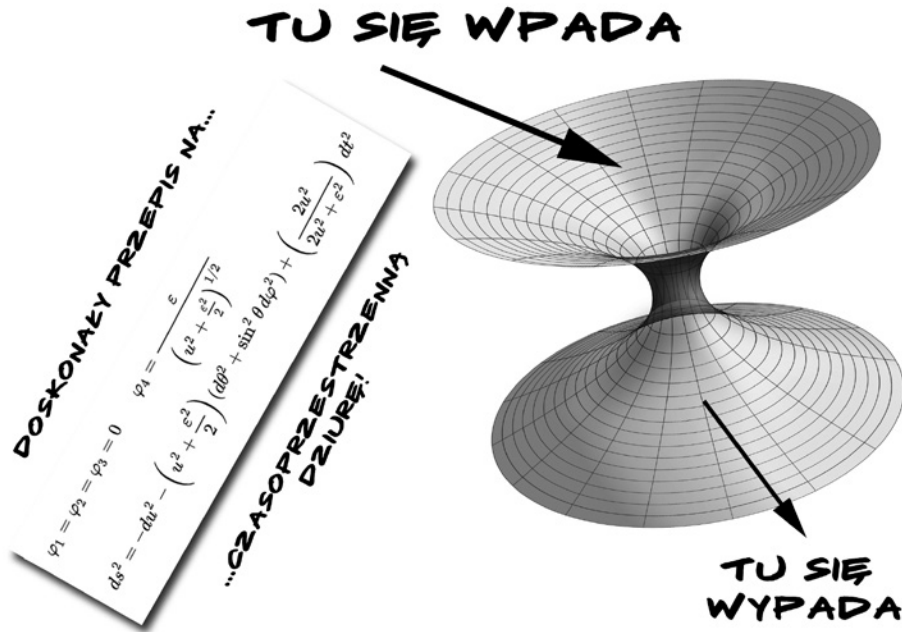
– Fafik, nie! – wrzasnęły dzieci i na czworakach podążyły za nim.

– Antosiu, Basiu, ja się nie zmieszczę! – krzyknął rozpaczliwie wujek Ambroży, nim dziura zamknęła się na dobre. – Zabierzcie mu tego pilota i naciśnijcie zielony guzik! Pamiętajcie, zielony guzik!

**Kto pierwszy wlaźł do dziwacznej dziury?**

**Jeśli Antoś – przejdź na stronę 10 .**

**Jeśli Basia – dzieci łapią Fafika za ogon  
i niechcący naciskają zielony guzik,  
przejdź na stronę 14 .**



# **Na skarpie jeszcze nie warszawskiej, XIII wiek**

– Gdzie my jesteśmy? – wyszeptał Antoś.

– Nie wiem – odparła cicho Basia. – Wygląda i pachnie jak Puszcza Kampinoska. No wiesz, gdzie jeździmy czasem na rowerach.

Dziura, przez którą przed chwilą się przeciskali – zniknęła. Wokół nich rozciągała się zielona łąka. Bujne trawy, niebieskie chabry, czerwone maki i żółte jaskry wyrastały ponad głowy dzieci, kryjąc je przed wzrokiem rycerzy, którzy nieopodal pod lasem rozmawiali głośno i wesoło, zasiadłszy wokół ogniska. Rycerze zresztą nawet nie spojrzeli w kierunku Basi i Antosia, zajęci przekomarzaniem się z Fafikiem, który – upuściwszy gdzieś otwieracz do niewidzialnego mostu – biegał wokół nich, próbując w swym psim języku wymusić prośbą lub groźbą smakowity kęsek.

– Patrzaj, jaki on śmieszny, ten psiak! – zawołał jeden.

– Mały tylko niemożebnie, z dziesięć razy mniejszy od naszych ogarów. Skąd się tu taki wziął? – dodał drugi.

– Ano rzućcie mu kość jaką, jazgocze przecie tak, że głowa boli! – rozkazał trzeci, chyba najważniejszy, bo z niewielką złotą koroną na głowie.

– Jak rozkażecie, książę panie! – powiedział kolejny rycerz i biorąc ostatniego kęsa z baraniego udźca, z rozmachem cisnął ogryzioną kość w stronę łąki. Fafik



COŻ TO?!  
Z GRODU ZOSTAŁ  
TYLKO PAGÓREK!  
IDĘ SOBIE, ECH...  
PO LEWEJ MACIE  
MOJĄ PIECZĘĆ  
NA PAMIĄTKĘ...



**TO SYNKOWIE  
ZIEMOWITA,  
KONRADEK  
I BOLEK**

zaszczeakał radośnie i pobiegł za gnatem niczym wystrzelony z procy, budząc śmiech biesiadujących.

– Lećmy za nim! – powiedział cicho Antoś.

– Poczekaj, zobacz, tam jest też dwóch chłopców w naszym wieku. Fajne mają wakacje, mogą się przebierać za rycerzy. Chcę posłuchać, o czym rozmawiają – odparła Basia.

– Niech będzie – westchnął Antoś.

Ten z koroną na głowie wstał, poprawił pas i spojrział na towarzyszy.

– No, panowie, czas się zbierać – powiedział. – Do grodu naszego w Jazdowie mi pilno, rad bym już małżonkę moją, księżną Perejestawę zobaczyć, bom się stęsknił.

– Nie chcę do grodu w Jazdowie! – wrzasnął chłopiec siedzący po lewej stronie.

– Ciasno tam!

– I nudno! Strasznie nudno! – wrzasnął drugi, siedzący po stronie prawej.

– Cisza! – rzekł ze srogą miną książę. – Co to ma znaczyć, synowie moi, Bolku i Konradzie?

– Ciasno! – wrzasnął pierwszy chłopiec. – Założę sobie własne miasto, choćby tutaj!

– Nudno! – wrzasnął drugi. – I właśnie że to ja założę sobie własne miasto, i właśnie tu!

Książę wziął się pod boki i nachylił ku nim.

– Jak będziecie dorośli i będziecie książętami, i jak będą was zwali Bolesław Drugi i Konrad Drugi, to sobie będziecie mogli miasto założyć. Choćby tutaj, czemu nie, do Wisły i świeżej wody niedaleko. Sądzę, że wypadłoby miasto owe Warszawą nazwać, boć przecie nieopodal już ładną wieś rybacką pobudowano, którą pan rycerz Warsz włada i którą Warszawą nazywa.



Ten rycerz, który rzucił kość Fafikowi, uśmiechnął się pod wąsem i ukłonił.

– To od ciebie, miłościwy panie, w darze ją dostałem.

– Boś dzielny! – odparł książę i dalej nachylony ku chłopcom, rzekł surowo –

A teraz jakem wasz ojciec, książę Ziemowit, powiadam – marsz do koni i grzecznie mi do Jazdowa jechać, bo mnie popamiętacie!

Bolek i Konrad – z wielkim niezadowoleniem, lecz postusznie – udali się do sosnowego zagajnika, gdzie do drzew przywiązane były konie całej drużyny.

– Połowa trzynastego wieku, a dzieciaki już krnąbrne i rozwydrzone. Co z tej młodzieży wyrośnie? – westchnął książę.

– To chyba nie są wakacje i to chyba nie jest udawany obóz rycerski – powiedział niepewnie Antoś. Basia miała coś dodać, ale w tym momencie przecisnął się przez wysoką trawę Fafik. Zamerdał wesoło ogonkiem i wypuścił z pyszczką na ziemię otwieracz niewidzialnego mostu. Dzieci chwyciły go razem, puściły, potem złapała go Basia.

– Wujek powiedział „Naciśnijcie zielony guzik”! – rzekła. – No to naciskam!

– Czeka! – zawołał Antoś. – Już raz nacisnęłaś, jak trzymaliśmy oboje!

– Nieprawda!

– Prawda!

**Przejdź na stronę 19.**

## XIV wiek, około 1379 roku

– Au! – krzyknął Antoś boleśnie.

– Ajaj! – zawtórowała mu Basia, rozcierając stłuczone kolano. Wypadli z dziury troszkę zbyt wysoko – mniej więcej na poziomie grzywki Antosia – i grzmotnęli o ziemię. Tylko Fafik spadł na cztery łapy niczym kot, a teraz rozglądał się dookoła nie wiedząc czy ma szczekać, czy raczej pozostać cicho. Również dzieci otworzyły oczy ze zdumienia, zapominając o siniakach.

Dookoła roilo się od ludzi. Od dorosłych, biegających w tę i z powrotem, pokrzykujących do siebie, pchających ciężkie drewniane taczki wyładowane cegłami albo jakimś białym ciastem. Wszyscy ubrani byli niedbale albo w ogóle nosili tylko podarte portki. Z niebieskiego nieba lał się letni skwar.

– To jakiś plac budowy – powiedziała Basia. – Ciekawe, gdzie jesteśmy?

– Hej, wy tam, pacholeta! Z drogi, tu się pracuje! – wrzasnął za ich plecami brodaty dryblas wsparty na drewnianej, upapranej na biało łopacie.

– Pacholeta?... – bąknął Antoś. – To chyba do nas...

Do dryblasa podbiegł inny mężczyzna, opalony na brąz, rozczochrany i bosy. I w samych gaciach.

– Mości panie strycharzu – wysapał. – Mało nas w brygadzie. Janek Zwiesigęba jabłek się nażarł i brzucho go rozboleło, robić nie może. Normy nie wydolimy i za karę przy wieczornej wy płacie nam skwarek do kaszy nie dadzą!



Dryblas podrapał się po głowie. Nagle odwrócił się w stronę Basi i Antosia i uśmiechnął. Brakowało mu wielu zębów.

– Nie frasuj się, dobry człowieku – rzekł do opalonego. – Mam ci ja pomysł.

Podejdźcie no tu, chłopcze i dziewczynko!

Antoś i Basia spojrzeli niepewnie po sobie.

– No podejdźcie, a dyc nie ugryzę! Co macie tak stać po próżnicy, nudzić się?

Nie lepiej to na kukietkę słodką zarobić albo i dwie?

– Jaką kukietkę? – zapytała Basia.

Dryblas zmarszczył brwi.

– Jak to jaką? No wyraźnie mówię, kukietkę, słodką bułkę w kształcie laleczki, pięknie z ciasta wyplatana, co ją na Rynku naszym warszawskim przekupki sprzedają.

– To jesteśmy w Warszawie?...

Dryblas wzniósł oczy ku niebu i westchnął głośno.

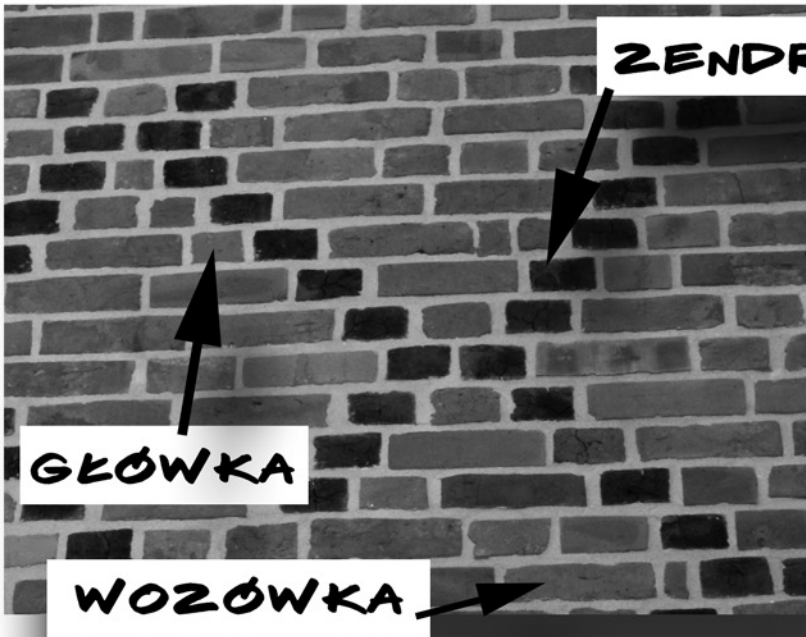
– Aj, dzieciaki, czy wam upał zaszkodził? – powiedział. – Aleście rzeczywiście może nie stąd. Stroje wasze, przyznam, dziwaczne nieco.

Antoś i Basia spojrzeli na swoje kolorowe, letnie wdzianka. Oj, mocno się one różniły od szaroburych ubrań dookoła.

– No więc dobrze, objaśnię was nieco. To jest gród Warszawą zwany, nad rzeką Wisłą pobudowany i na całym Mazowszu słynny.

– Chyba w całej Polsce! – powiedział Antoś.

Dryblas skrzywił się. – Nie sędzę. Królestwo Polskie to przecież zagranica, a tam za stolicę Kraków mają. Ale u nas, w Warszawie, już ponad dwa tysiące osób mieszka. Teraz z rozkazu księcia pana mury i bramy budujemy. Powiadają w Krakowie, że ichni król Kazimierz Wielki zastał Polskę drewnianą, a zostawi murowaną, ale i nasz książę pan niegorszy.



**TO JEST  
PAN STRYCHARZ**



- Książę Ziemowit? – zapytała Basia. Dryblas się zaśmiał. – Gdzieżby tam, mała!
- odpowiedział. – Ziemowit to ze sto lat temu panował. Teraz jest książę Janusz. Antoś pociągnął Basię za rękę.
- Basiu, ta dziura nas przenosi w czasie! – wyszeptała.
- Pff, dopiero się domyśliłeś? – odszepnęła Basia.
- I jest taka stacja metra Księcia Janusza! – dodał Antoś.
- No to jak będzie, dzieciaki? Pomożecie?
- Pomożemy!
- Doskonale. Chodźcie ze mną!

Poszli za dryblasem i opalonym murarzem wzdłuż placu budowy. Po lewej stronie mur miał już wysokość Antosia i Basi, za murem stały niewysokie drewniane domy, a po prawej stronie – jak okiem sięgnąć – rozciągały się pola i zagajniki.

– Tutaj budujemy bramę – powiedział dryblas, zatrzymawszy się. – Jedni na nią mówią Brama Czerska – bo gród Czersk tam na południu leży, inni mówią Brama Krakowska, bo do Krakowa trakt przez nią prowadzi.

– W naszych czasach jest tu Plac Zamkowy, byliśmy na wycieczce szkolnej parę razy – powiedział Antoś.

– Co?

– Nie, nic.

Dryblas wzruszył ramionami.

– Ja jestem imć strycharz, czyli specjalista od wyrobu cegieł. Opalony to pan murarz, tam są jego koledzy, wy im będziecie podawać cegły, które leżą tam – wskazał na wyższą od niego samego piramidę. – Czasem podacie też to białe niby-ciasto z taczki, czyli wapienną zaprawę, która cegły skleja.

Po południu dostaniecie na kukielki. No to do roboty, chłopy! – krzyknął do murarzy. – Pamiętajcie, cegły kładziemy w wątku gotyckim! Raz krótsza strona cegły, czyli główka, raz dłuższa, czyli wozówka! Główka, wozówka! Dodamy też tę ciemniejszą, zendrówkę, ładny wzorek z tego wyjdzie.

Antoś dźwignął pierwszą cegłę, wybałuszył oczy i sapnął z wysiłku.

– Ona z dziesięć kilo waży! W naszych czasach są lżejsze, tata Maćka, mojego kolegi, dom buduje, to wiem!

– Dobra, mam otwieracz mostu w kieszeni – powiedziała cicho Basia. – Dla niepoznaki trochę pomożemy i zmykamy stąd. Fafik, trzymaj się blisko!

**Przejdź na stronę 24 .**

## XVI wiek, kwiecień 1573 roku

– O kurczę, ale ciemno! Basiu, Basiu, jesteś tu? – zawołał Antoś. Nad jego głową, wysoko na nocnym niebie błyszcząły gwiazdy.

– Jestem Antosiu, ale nic nie widzę! Jakoś tu pochyło...

– Hau! – szczechnął gdzieś w atramentowym mroku Fafik.

– No to pięknie. W komórce mam latarkę, ale nie wziąłem z domu jak szliśmy do wujka. Myślisz... myślisz, że uda nam się wrócić?... – głos Antosia zadrżał.

– Na pewno wrócimy, nie martw się. Czekaaj, mam smartfona! O, i proszę, tu jestem! – zawołała Basia, machając świecącym białoniebiesko ekranem. Antoś podbiegł szybko i przytulił Basię. Fafik przyjaźnie trącił ich nogi zimnym noskiem i nagle zawarczał.

Gdzieś niżej – jakby stali na wzgórzu – ukazało się światło kiwającej się, trzymanej przez kogoś latarni. Chwilę później potężny głos zawołał:

– Hej! Jest tam kto?! W imię króla, wyłaż z cienia i pokaż gębę!

Antoś i Basia skulili się, wpierając plecami w ścianę kamienicy. Fafik warczał głucho, ale prawdę mówiąc, schował się między dziećmi.

Kamienie chrupnęły pod czyimiś ciężkimi butami, zachrzęszczało żelazo – czyżby zbroi? – i oto do Antosia i Basi zbliżyły się dwie postacie. Pierwszy – ten, który w wysoko uniesionej dłoni trzymał latarnię ze świecą – miał na sobie płaski hełm kształtu kapelusza i kolczugę, w której misternych kółeczkach – niczym w żelaznym swetrze – odbijał się pomarańczowy blask płomienia. Blask odbijał

się też w groźnym ostrzu wielkiej halabardy, którą pewnie dzierżył w drugiej dłoni.

– Ki diabeł? A co wy tu w nocy robicie, nicponie przeklęte? Ognik jakowys się tu świecił, myślelim, że bazyliszek albo upiór po ulicy Mostowej buszuje.

Nie wasze to żarty aby? Gadać mi zaraz!

Zza pleców strażnika wyjrzał drugi z mężczyzn. Na jego okolonej zadbaną brodą twarzy widniała raczej troska, niż strach przed nocnymi zjawami, na piersiach zaś błyszczał drogocenny łańcuch.

– Nie frasujcie się, panie strażniku, wszakoż to dzieciątka jeno. A i ten kundelek, małe to takie, więcej na chomika niżli na psa wygląda – rzekł głosem tak spokojnym i sympatycznym, że Fafik nie dość, że się nie obraził, to jeszcze przestał warczeć.

– Ale wielmożny panie Janie – zaprotestował strażnik – toż to włóczęgi zwyczajne!

– Nie takie zwyczajne, panie strażniku – mężczyzna z łańcuchem spojrzał badawczo na Basię i Antosia. – Spójrzcie jeno, buzie czyste, ubrania całe, nie w strzępach żebraczych. Ba, i piesek wygląda schludnie, jakby go z królewskiej kanapy ściągnięto.

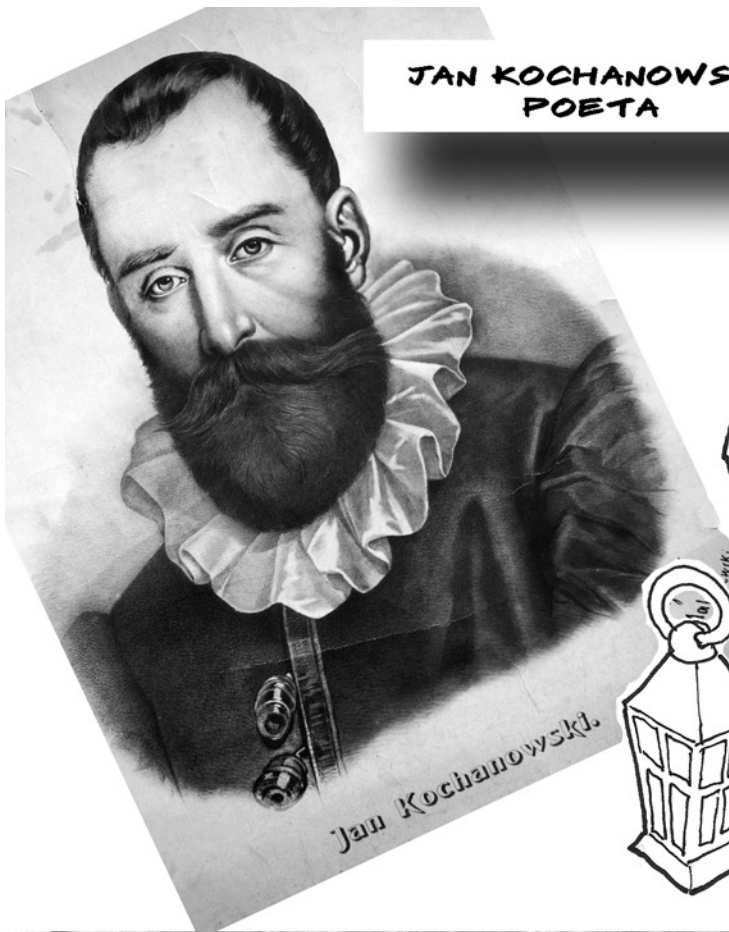
– Hm, hm – mruknął strażnik, ale przestał się groźnie nachylać i zabrał halabardę sprzed nosów dzieci. – Skądżeście się wzięli? Od ojca i matki się zgubiliście po uroczystościach?

Antoś i Basia spojrzeli niepewnie.

– Tak... – bąknął Antoś. – Zgubiliśmy się.

– A w której to karczmie rodzicie wasi się zatrzymali? Na Starym Mieście, czy na Nowym?

**JAN KOCHANOWSKI,  
POETA**



Jan Kochanowski.



**STRAŻNIK  
Z HALABARDĄ**



**MOST KRÓLA  
ZYGmunTA AUGUSTA  
I JEGO SIOSTRY  
ANNY JAGIELLONKI**



– Nie wiemy...

Mężczyzna z łańcuchem westchnął. – No dobrze. Jam jest Jan Kochanowski, szlachcic i poeta. To pan Michał, drab miejski, czyli strażnik. Nie ma co czasu tutaj tracić, mam ja izby przyzwoite w kamienicy Wilczkowskiej przy Rynku staromiejskim najęte, dam wam kąt do spania. Rano rodziciele waszych znajdziemy.

Antoś i Basia zgodzili się chętnie i ruszyli w górę ulicą Mostową, ciemną choć oko wykol. Po chwili jednak pan Jan Kochanowski odwrócił się.

– Spójrzcie, dzieciaki. Czyż to nie piękne? Prawdziwie wielki to powód do dumy dla Warszawy!

Daleko, daleko w dole kołysał się lekko na wietrze podwójny ciąg latarni, niczym ognistych pereł. Było ich mnóstwo. Niknęły gdzieś hen, w mroku nocy, na drugim brzegu niewidocznej Wisły.

– To wspaniały most warszawski – rzekł pan Jan. – Pięknie iluminowany. Najdłuższy taki w Europie! Dziś uroczyste otwarcie przecież święciliśmy, piątego kwietnia Roku Pańskiego tysiąc pięćset siedemdziesiątego trzeciego.

– Nawet fajnie wygląda – powiedział Antoś. – Ale drewniany? Mosty się buduje z... Aj! – to Basia kopnęła go szybko w kostkę.

– A zaraz – rzekł pan Jan. – Wyglądacie mi na kształconych w szkołach. Gdy się na was natknęliśmy, myślałem akurat nad rymem w mojej fraszce, czyli w wierszyku. Nie daje mi to spokoju! Zaczyna się tak – „Nieubłagana Wisło, próżno wstrząsasz rogi, próżno brzegom gwałt czynisz i hamujesz”... no właśnie, co? Myślałem, żeby dać „nogi”, ale jakoś mi nie pasuje...

– Lepiej „drogi” – powiedział Antoś.

– Brawo, chłopcze! – zawołał uradowany pan Jan. – Tego mi właśnie brakowało! Dziękuję!



Ruszyli w stronę murów Starego Miasta. Wreszcie zatrzymali się przed oświetlonym pochodniami czymś, co wyglądało jak nieduży zamek.

– Rety, poznajesz Basiu? To Barbakan! – krzyknął Antoś.

– A owszem, Barbakan – rzekł dumnie strażnik Michał. – Muszą nam tylko koledzy moi furtkę we wrotach otworzyć, bo przecie na noc są zamykane.

Poszli przez bramę, potem przez uśpione, całkiem ciemne uliczki. Weszli skrzypiącymi schodami na piętro starej kamienicy. Służący pana Jana Kochanowskiego zapalił świece, przygotował na kolację smaczny chleb, ser i mleko. Antoś i Basia z Fafikiem u stóp położyli się do snu na pachnącym słomą łóżku.

Rano zdumiony pan Jan Kochanowski znalazł pozostawioną przez dzieci, wymiętoszoną w kieszeni Basi karteczkę z długopisowym napisem „Dziękujemy, panie Janie!”.

– Cóż to za znakomity papier?! – wymruczał. – I jakie pismo równe, jakim to piórem napisane?

**Przejdź na stronę 29.**

## **XVII wiek, zapewne 1644 rok**

– Coś mi się zdaje, że nie jesteśmy już w Warszawie – rzekł Antoś, marszcząc nos. – Nic a nic tu nie poznaję.

Wypętzli z dziury. Od razu również upačkali dłonie i kolana w błocie, zalegającym rozległy plac przed kościołem z czerwonej cegły. I tak mieli szczęście, bo prócz błota mnóstwo tam było końskich kup.

– Hej! Chcecie zobaczyć, jak kolumnę króla Zygmunta toczą?

Zdziwione dzieci odwróciły się i ujrzały chłopca o bujnych, rudych włosach i piegowatej buzi. Trzymał dłonie zatknięte za ściśnięty na brzuchu sznurek, powstrzymujący przed spadnięciem jego podarte portki.

Fafik szczerknął przyjaźnie i podbiegł do chłopca, który zaśmiał się wesoło, ukucnął i pogłaskał czworonoga.

– Przez tę ciżbę się nie przepchniemy, ale wiem, jak się chyłkiem dostać na dzwonnice świętej Anny – powiedział rudy chłopiec, wskazując kolejno głową widoczny w oddali tłum i wielką wieżę stojącą obok kościoła.

– Jak to kolumnę króla Zygmunta toczą? – zapytał Antoś.

– Normalnie! – odparł chłopiec i wstał. – Najpierw toczą, potem będą stawiać. No chcecie zobaczyć, czy nie? Tylko musicie mi coś za to dać.

– Pewnie, że chcemy – powiedziała Basia. – Hm... Chcesz może długopis? – dodała, wyciągając go z kieszeni.

– He? A co to takiego? – chłopiec spojrzał nieufnie.

– To jest takie jakby pióro do pisania, ale o wiele lepsze. Zdejmuje się skuwkę i można pisać nie tylko po papierze, ale nawet po skórze. Zobacz – powiedziała Basia i namazała sobie na dłoni niebieską, uśmiechniętą buźkę. – Potem można to zmyć, choćby śliną – plunęła lekko i roztarła rysunek.

Rudy chłopiec rozdziawił buzię ze zdumienia.

– A niech mnie pchły gryzą, ale dziwo! Skąd to macie?

– Z daleka, ale możesz wziąć, proszę.

Chłopiec delikatnie wziął długopis od Basi i z namaszczeniem schował za pazuchą.

– Jestem Kazik – przedstawił się. – Służę u pisarza królewskiego, pana Maciejewskiego, i chociaż wiele piór rozmaitych i atramentów codziennie widuję, to długopisu jako żywo nawet on nie ma. No dobra, to chodźcie za mną!

Antoś, Basia i Fafik ruszyli za Kazikiem, który się rozgadał.

– Pewnie jesteście tu nowi, co? Z Gdańska? Stamtąd różne zamorskie cuda tu do Warszawy trafiają. Ale tylko u nas będzie taka kolumna, której w całej Europie nie ma! Od czasów Rzymian starożytnych o takim cudzie nie słyszano! Tak powiada pan Maciejewski, a on wie, co mówi. Całe czterdzieści łokci nad ziemię pomnik ów wyrośnie!

– A ile to metrów? – zapytała Basia.

– A nie wiem – zdziwił się Kazik.

– Dwadzieścia dwa – szepnął Antoś do Basi. – Pani przewodniczka na szkolnej wycieczce mówiła, zapamiętałem. Więc to jednak Warszawa, ale numer!

Za przewodem Kazika dzieci przecisnęły się przez dziurę w płocie, potem przez wyrwę w murze, potem przez niedbale uchylone, nabijane żelazem drzwi i znalazły się w mrocznym wnętrzu potężnej dzwonnicy. Cała trójka z Fafikiem



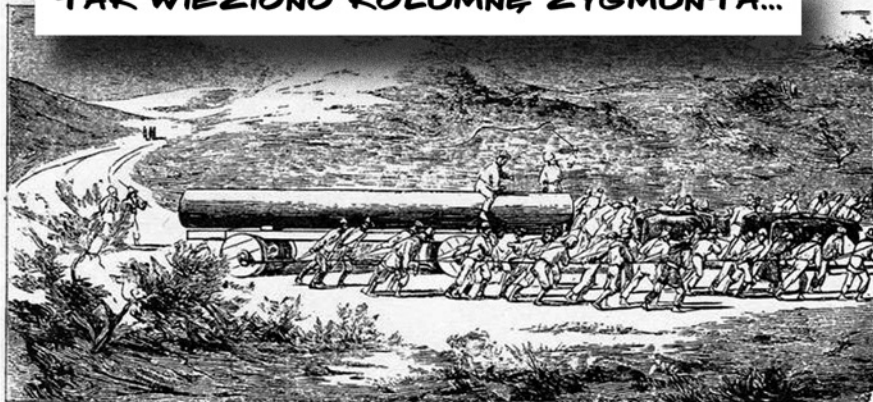
TAK MOGŁE WYGLĄDĄĆ  
ADAM JARZĘBSKI

RATUSZ  
WARSZAWSKI  
W XVII WIEKU

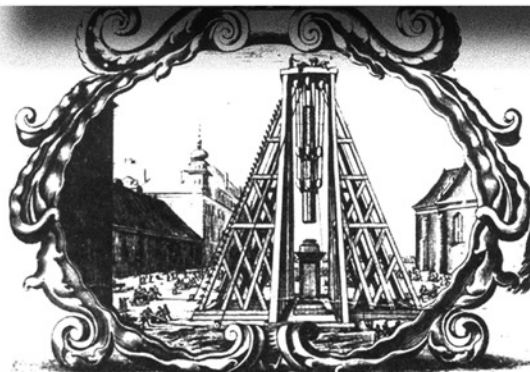


KAZIK  
Z DŁUGOPISEM

TAK WIEZIONO KOLUMNĘ ZYGMUNTA...



...A TAK JĄ STAWIANO!



cicho wspięła się po drewnianych schodach ku jaśniejącemu wysoko okienku, z którego rozciągał się niezwykły widok.

– Patrzcie! – objaśnił Kazik. – Tam, wzdłuż Podwała, trzystu mężów silnych kolumnę turla, a jeszcze im dwustu gwardzistów królewskich pomaga!

Rzeczywiście, w oddali widać było tłum ludzi wolno pchających i ciągnących linami olbrzymi kawał szarego kamienia. Wokół zebrali się chyba wszyscy mieszkańcy Starego Miasta, wiwatując głośno i krzykami zachęcając robotników do większego wysiłku.

– Wykuli kolumnę w Górach Świętokrzyskich, na tratwach wielkich Wisłą tutaj spławili na przystań przy Mostowej ulicy, a od rana ją tutaj toczą – dodał chłopiec.

– Coś tam mało miejsca, placu Zamkowego nie widzę – powiedział Antoś.

– No bo takiego nie ma! – zaśmiał się Kazik. – Są miejskie mury, jest Brama Krakowska, potem Brama Świętojańska, zamkowe dziedzińce Przedni i Stajenny, no i wreszcie sam Zamek.

– A ta wielka piramida z drewna przed bramą Krakowską? – zapytała Basia.

– To rusztowanie – objaśnił fachowo Kazik. – Na nim właśnie linami kolumnę podciągną ku górze, a potem opuszczają jej straszliwy ciężar tam, gdzie ma stać.

– Świetny pomysł! – powiedział z uznaniem Antoś.

– Wiecie co, a może pokażę wam więcej? Pójdziemy sobie na spacer!

– Dobrze! – ucieszyła się Basia.

Znów ruszyli za Kazikiem, który paplając niezmordowanie przyprowadził dzieci na staromiejski Rynek. Tam zatrzymał się i dumnie wskazał dłonią stojącą na środku Rynku budowlę, której ani Antoś, ani Basia nie znali.

– Patrzcie, to nasz warszawski Ratusz! Ładny, co?

– W naszych czasach go nie ma – szepnęła Antosiowi Basia.

– I te kamienice dookoła! Jakie kolorowe! – dodał Kazik. – O, patrzcie, tamten pan w czerwonym kaftanie, co z Ratusza wyszedł, to słynny Adam Jarzębski! Niedawno czytałem jego książkę „Gościniec, abo krótkie opisanie Warszawy”. Umiem bowiem czytać i pisać, nie chwaląc się. Nikt wcześniej takiego dzieła nie stworzył, to taki jakby przewodnik po naszym mieście. Jest tam na przykład napisane tak: „Bardzo kamienice śliczne, w Rynku; także i uliczne. Błyszczą się od złota prawie, nie masz takich w Czersku, w Rawie”.

– Są naprawdę bardzo ładne – rzekła poważnie Basia.

Z ratuszowej wieży rozległo się bicie zegara.

– Będę was chyba musiał tu zostawić – powiedział Kazik z zafrasowaną miną. – Pan Maciejewski kazał mi wrócić przed obiadem. Dacie sobie radę?

– Pewnie! Bardzo ci dziękujemy.

– A ja wam dziękuję za ten niezwykły długopis! Cześć!

**Przejdź na stronę 34.**

## XVIII wiek, około 1778 roku

Tym razem dziura wyrzuciła Basię i Antosia z Fafikiem za beczką ze śledziami, przy pogrążonym w cieniu wejściu do sklepu. Nad ich głowami rozmawiały głośno dwie tęgie panie o policzkach barwy buraków i w kolorowych czepkach na głowach.

– Powiadam pani, droga pani Jędrzejowa, że te przekupki krakowskie strasznie są pyskate! – rzekła głośno pierwsza. – Jak raz mię w pięć na tamtejszym Rynku obstały, to ledwim je przegadała!

– A to mały zielone! – westchnęła druga. – Niech sobie siedzą we swoich sukiennicach, my tu swoje sukiennice też w ukochanej Warszawie mamy, świeżo wokół Ratusza pobudowane, jeszcze ściany tynkiem pachną.

– Ile te rybki i dlaczego tak drogo? – zapytała nagle wysoka i chuda dama z wiklinowym koszykiem w dłoni.

– Te? Świeżutkie, to dwie za szeląga.

– Iiii... – pokręciła głową chuda dama, obróciła się na pięcie i ruszyła dalej.

– Mościa pani to chyba ze Śląska! – wrzasnęła za nią druga przekupka.

– Słucham? – zmarszczyła brwi dama.

– W plecach szeroka, niżej wąska! – zarechotały obydwie handlarki.

– Zmiatajmy stąd – powiedział cicho Antoś. – Jak pomyśli, że jej śledzie kradniemy, to po nas!



Ukradkiem wyszli na ulicę. Najwyraźniej byli na Rynku Starego Miasta – na środku stał wysoki ratusz, wokół którego rzeczywiście dobudowano mnóstwo sklepów z wejściami ocienionymi arkadami. Wszędzie dookoła przeciskali się zajęci swymi sprawami mieszczanie – panie w długich sukniach i panowie w rozmaitego kroju czapkach i kapeluszach na głowach.

Antoś i Basia stali tak z rozdziawionymi buziami, gdy nagle podeszła do nich wysoka i ładna panna w błękitnej sukni, w kapelusiku z delikatną woalką, osłaniającą jej buzię przed palącymi promieniami letniego słońca. Za panną dreptała młoda dziewczyna w chustce, niosąca pakunek przypominający obraz zawinięty w płótno i przewiązany sznurkiem.

– Hej, dzieciaki! Wszystko w porządku? Wyglądacie na zabłąkanych – powiedziała panna z troską w głosie.

– Prawdę mówiąc... no tak, trochę się zgubiliśmy, nie potrafimy wrócić do domu – westchnęła Basia, a Antoś wytarł szybko dłonią łzę, która nagle popłynęła po jego policzku.

– Ojej... – zasmuciła się panna, ale zaraz jej buzia się rozpromieniła. – Słuchajcie, chodźcie ze mną! Idę akurat na Zamek Królewski, do pana Marcello Bacciarellego, no wiecie, Italczyka, słynnego malarza i przyjaciela króla. Poproszę go, żeby wam pomógł, on poprosi króla Stanisława, a król każe gwardzistom, żeby waszych opiekunów z wami poszukali. Dobry pomysł, co? Chodźcie!

Wzięła Antosia i Basię za ręce i ruszyła zdecydowanym krokiem.

– Jestem Anna Rajeczka, a to moja służąca Rózia. Mieszkam tu niedaleko, mój tata Józef ma na Starym Mieście pracownię malarską. Tata maluje naprawdę ładnie, ale ja będę sławna nawet we Francji! Też maluję. Będę pierwszą w Polsce zawodową artystką malarką!



SLUŻĄCA RÓZIA  
Z OBRAZEM



RATUSZ Z SUKIENNICAMI,  
XVIII WIEK



MARCELLO BAGGIARELLI



TAK MOGŁA WYGLĄDAĆ  
ANNA RATECKA



– Zawodową? – zapytała Basia.

– Tak. To znaczy, że zarobię mnóstwo pieniędzy sprzedając swoje obrazy i będę samodzielna!!

Szli przez chwilę w milczeniu ulicą Jezuicką. Nagle od strony Wisły powiał lekki wietrzyk.

– Rety, co tu tak śmierdzi?! – zawołał zduszonym głosem Antoś.

Panna Anna RajECKa skrzywiła się i załoniła buzię rąbkiem szala.

– Fuj, to z tej paskudnej Góry Gnojnej. Jest tuż obok, nad rzeką. Wielka, smrodliwa kupa śmieci! Już tyle razy król rozkazywał, żeby to wstrętne wysypisko zamknąć, ale gdzie tam. Niektórzy nawet przychodzą się tam w odpadkach wytarzać, twierdzą, że to zdrowo. Chodźmy szybciej!

Trafili na otoczony pięknymi kamieniczkami i ścianą kościoła placyk Kanonia. Zamiast jednak stojącego na bruku starego, popękanego dzwonu, znanego Basi i Antosiowi ze szkolnych wycieczek, ujrzeli porośnięty trawą skwer wypełniony nagrobkami i krzyżami.

– To ponoć najstarszy cmentarz w Warszawie – powiedziała cicho panna Anna. – Tu jest przejście przy parkanie, a tam brama na dziedziniec kuchenny Zamku Królewskiego. Strażnicy mnie znają, wpuszczą nas od razu.

Rzeczywiście, bez trudu i ceregieli znaleźli się po chwili u stóp wyniosłych ścian królewskiej siedziby.

– Pochwalę się wam, że jako dziś czwartek, zaproszona znów zostałam na obiad przez króla Stanisława Augusta wydawany w przepięknym jego Pałacu na Wyspie, w Łazienkach – uśmiechnęła się panna Anna. – Ciekawe, co kuchmistrz pan Paweł Tremo dziś przygotował? Uwielbiam zwłaszcza jego jarmuż ze słodkimi kasztanami i delikatną zupę migdałową! Najpierw jednak

panu Bacciarellemu swoje obrazy nowe pokażę. A otóż i on! Panie Marcello, panie Marcello!

Podbiegli do sympatycznego starszego pana w srebrnej peruce na głowie.

– Buon giorno, czyli nasze po włosku dzień dobry, panno Anno – powiedział uprzejmie. – Tak sobie stoję i się zastanawiam, czy tu kiedy na ścianie zawiśnie tablica, która by mnie i moją szkołę malarską upamiętniała.

– Zawiśnie – wyrwało się Antosiewi, który dobrze zapamiętał szkolną wycieczkę po Starówce.

– O? – zdziwił się pan Marcello.

– Och, Antosiu, spójrz, nasi znajomi tam idą! – pociągnęła Antosia za ramię Basia. – Bardzo dziękujemy, panno Anno, musimy lecieć!

I pobiegli, machając na pożegnanie pani Annie. Zatrzymali się aż na drugim zamkowym dziedzińcu, wśród biegających z różnymi pakunkami służących.

– Jacy niby znajomi? Ja chcę do domu! – powiedział Antos.

– Oj tam, nikogo nie widziałam, ale nie chciałam sprawiać panie Annie i panu Bacciarellemu kłopotu. Schowajmy się gdzieś i otworzymy tę mosto-dziurę. Może tym razem się uda! – odparła Basia.

**Przejdź na stronę 39.**

## **XIX wiek, lato 1829 roku**

– Ja już nie mam siły – jęknęła Basia, z wysiłkiem wstając z ulicznego bruku po wyjściu z czasoprzestrzennej dziury.

Antoś – jeszcze na czworakach – rozejrzał się dookoła, wykrzywił buzię w podkówkę i wybuchnąłby płaczem, gdyby nie to, że nie tracący humoru Fafik polizał go radośnie po lewym uchu.

Wciąż nie byli w domu. Na ścianie kamienicy nad ich głowami widniała jasna tabliczka z napisem „Nowomiejska”. Od Rynku nie płynął już handlowy hałas – zbliżał się wieczór, a zachodzące słońce barwiło górne piętra i dachy staromiejskich kamienic kolorami złota i różu.

– Patrz, nie ma Ratusza – Basia wskazała palcem puste miejsce pośrodku Rynku.

– A tam powinien być Barbakan – mruknął Antoś, patrząc w głąb ulicy Nowomiejskiej. – I też go nie ma.

Nagle zmrużył oczy, potrząsnął głową i spojrzał uważniej.

– Ej, Basiu, ja go znam!

– Co?

– No znam tego gościa! Tego, co tam stoi. Znam z podręcznika!

Piętnaście, może dwadzieścia kroków od dzieci stał pod kamienicą szczupły młodzieniec i niczym zahipnotyzowany patrzył w okna pierwszego piętra, dłonie złożony jak do modlitwy. Antoś i Basia podążyli za jego wzrokiem

i po chwili zdało im się, że za szybą mignęła twarz ładnej dziewczyny o misternie splecionych, jasnych włosach. Blondynka machnęła lekko młodzieńcowi i zniknęła za firanką, on zaś westchnął rozdzierająco.

– No i patrz, Iza! Nie mówiłam, że tu został? – rozległ się dziewczęcy głos za plecami dzieci.

Od strony Rynku nadeszły dwie młode panny, obie pięknie ustrojone w długie suknie i płaszczyki na ramionach.

– Frycku kochany, no chodźże! – powiedziała pierwsza.

– A więc to tu mieszka ta cała Konstancja Gładkowska – powiedziała druga panna.

– Tak, tu, i odkąd ją poznał na koncercie w kwietniu, najwyraźniej zwariował. Już się nie da do wujostwa Kołomińskich na Przyrynek iść normalnie, bo się nasz Frycek na Nowomiejskiej w słup soli zamienia.

– Oj, dajcie mi spokój, siostrzyczki – westchnął młodzieniec, ale uśmiechnął się i pozwolił im wziąć się pod ramiona. – Po prostu ja już, może na nieszczęście, mam swój ideał.

– Ech, Frycunieczku drogi, posłuchaj rady mojej, jakem twoja starsza siostra Ludwika – powiedziała pierwsza panna z udawaną surowością. – Oprzytomniej! Miałeś „Wariacje A-dur” na motywach Niccolò Paganiniego tworzyć – leżą. W księgarni pana Andrzeja Brzeziny dzieła sławnego Beethovena zamówiłeś – leżą. Przygotowania do wakacji w Wiedniu – leżą. No i schudłeś!

– No... racja, racja, ale wszystko załatwię i nadrobię.

– I przestań biedną Aleksandrynkę męczyć i wykorzystywać – fuknęła druga panna. – Spacerujesz z nią pod rękę po Krakowskim Przedmieściu, żeby zazdrość tej blondynki wzbudzić! A jak się biedna Aleksandrynka w tobie zakocha?



**KONSTANCJA  
GLADKOWSKA**

**IZABELLA,  
MŁODSZA SIOSTRA  
FRYDERYKA**



**FRYDERYK CHOPIN  
NA ULICY  
NOWOMIEJSKIEJ...**

**...POD RĘKĘ  
ZE STARSZĄ  
SIOSTRĄ  
LUDWIKĄ.**

Już gadają, „patrzcie jaka to ładna para, pan Fryderyk Chopin i Aleksandryna de Moriollles”! Myślisz, że mamie albo ojcu się to spodoba?

Mimo wieczornych cieni widać było, że młodzieniec zaczerwienił się po uszy.

– Yyy... ten tego... Ach, przecież miałem wam swój nowy koncept muzyczny przedstawić! Ten właśnie, na którym wpadł, gdyśmy dziś na imieniny do cioci Brygidy wędrowali!

– Usiłujesz zmienić temat, spryciarzu, ale niech ci będzie, wystarczająco już twych uszu natarłyśmy. Opowiadaj!

Cała trójka ruszyła dalej.

Antoś pociągnął Basię za rękę.

– Chodź, chodź, wiedziałem, że to Fryderyk Chopin! Chcę posłuchać, o czym będą gadali!

– Więc – rozpoczął młodzieniec. – Zazwyczaj idziemy do wujostwa Kołomińskich Przyrynkem, a potem trochę na skrót ulicą Samborską.

Obie siostry skinęły głowami.

– A Samborska jest bardzo krótka. Może nawet najkrótsza w Warszawie.

Znów skinęcie.

– I wymyśliłem, że skomponuję utwór tak krótki, by dało się go zagrać w trakcie spaceru Samborską, czyli w minutę. Właściwie to już mam go tutaj – postukał palcem w głowę. – Nazwę go chyba „Walc Jednominutowy”, powiedzmy Des-dur.

– Świetne! – Ludwika i Izabella klasnęły w dłonie.

Fryderyk uśmiechnął się, zadowolony z efektu i porzucenia przez siostry wątku jego miłosnych rozterek.

– To mogę wam jeszcze coś opowiedzieć. Mianowicie widziałem ostatnio w bibliotece plan Warszawy z czasów króla Stanisława Augusta, na którym jego



francuski autor pan Ricaud de Tirregaille – wiecie, Riko de Tiregaj – jedną z ulic nazwał „ulica Psia”. Jak myślicie, którą?

– Nie wiemy!

– Przyrynek! Nie znał za dobrze polskiego, usłyszał „Psi Rynek” i pokiełbasił nazwę.

Ludwika i Izabella roześmiały się perliście.

– Koniecznie musisz to tacie opowiedzieć!

Idący chyłkiem za nimi Antos i Basia nie wytrzymali i też zaczęli chichotać.

– A co to za nygusy? – zaczął groźnie Fryderyk. – Czego za nami lezicie?

– Bo jest pan bardzo sławny – powiedział poważnie Antos.

– Hm, hm... przesadzasz, drogi chłopcze, ale dziękuję. Wyglądacie na zabiedzonych – jeśli jesteście głodni, możemy wam kupić coś do jedzenia.

– Nie, nie trzeba. Ale... jak pan będzie we Francji – to znaczy, jeśli przypadkiem byłby pan kiedyś we Francji – to czy zechciałby pan napisać utwór i zadedykować go „Basi i Antosowi”?

– Ha! – zaśmiał się Fryderyk. – A to ci heca! No dobrze, postaram się nie zapomnieć. Jeśli będę we Francji, to napiszę taki utwór.

– Dziękujemy! Musimy już pędzić, chcemy wrócić do domu!

– Uważajcie na siebie, dzieciaki! Pa! – zawołali Fryderyk, Izabella i Ludwika.

**Przejdź na stronę 43.**



## XIX wiek, około 1877 roku

Antoś ze zwieszoną głową kopnął kamień, który poturlał się do rynsztoka.

– Powiedz, że wrócimy do domu.

Basia nie odpowiedziała. Wlekli się noga za nogą po bruku wzdłuż kilkupiętrowych kamienic ulicy opatrzonej tabliczkami z nazwą „Bugaj”. Gdzieś z niedaleka dolatywał rzeczny zapach Wisły. Było wczesne letnie popołudnie, Słońce przygrzewało miło, ale dzieciom nie było do śmiechu. Nawet Fafik stracił rezon, przestał szczekać, tylko apatycznie obwąchiwał wilgotne mury mijanych domów.

Antoś podniósł na chwilę zmęczony wzrok i przystanął.

– Patrz, Basiu, ta dziewczynka wygląda na bardziej zmartwioną niż my!...

Rzeczywiście, z dołu pochyłej ulicy wędrowała ubrana na czarno panienska wyglądająca, jakby zwały się na nią wszystkie kłopoty świata.

– Możemy do niej podejść, co nam szkodzi – wzruszyła ramionami Basia. – Nam też kilka osób chciało pomóc.

Zbliżyli się zatem do dziewczynki, trochę tylko starszej od nich.

– Hej, co ci jest? Może potrafimy jakoś poradzić?... – zapytał Antoś.

Dziewczynka spojrzała na nich smutno.

– Dzięki, ale nie sądzę, byście potrafili. Sami nie wyglądacie najweselej.

– Fakt – westchnął Antoś. – Ale mamy poważny problem.

– Poważny problem to mam ja – odpowiedziała dziewczynka. – Nawet kilka.

Dlatego, żeby odetchnąć, poszłam na samotny spacer w stronę Wisły. Ta rzeka ma

dla mnie powab, którego istoty nawet pojąć nie potrafię.

– Ładnie powiedziane – pochwaliła Basia.

– Dzięki – mruknęła dziewczynka. – Czasami chciałabym być pisarką. Albo uczyć biedne chłopskie dzieci po wsiach. Ale najbardziej chciałabym chyba odkrywać tajemnice przyrody i Wszechświata. Ot, czytałam w gazecie, że właśnie w Szwecji pan Per Teodor Cleve odkrył dwa pierwiastki! Aż dwa! I nazwał je holm od rodzinnego miasta Sztokholm oraz tul od Thule, dawnej nazwy północnych krain. Jak ja bym tak chciała!... Żeby o Polsce całemu światu przypomnieć, chociaż jej na mapach nie ma!

Antoś i Basia spojrzeli na siebie.

– A jak się nazywasz? – spytali.

– Marysia Skłodowska – przedstawiła się panienka. – Mieszkam na Lesznie, ale urodziłam się niedaleko stąd, na ulicy Freta, może dlatego lubię tu wędrować.

Antoś sapnął z wrażenia i trącił Basię łokciem w ramię. Basia lekko kiwnęła głową. Oboje słyszeli w szkole o pani Marii Skłodowskiej-Curie, tyle że o dorosłej.

– Za parę dni idę do szkoły – westchnęła Marysia Skłodowska. – Do Trzeciego Gimnazjum Żeńskiego przy Krakowskim Przedmieściu, wiecie, w kamienicy obok kościoła sióstr wizytek. Okropna, okropna szkoła! Moje siostry, Bronia i biedna Zosia, też tam chodziły. Dobrze, że przynajmniej będę w jednej klasie z moją najlepszą przyjaciółką, Kazią Przyborowską. Może jakoś wytrzymam.

– Zapewniam cię, że dasz sobie radę – powiedziała z powagą Basia. Marysia uśmiechnęła się niepewnie.

– Wiesz co, Marysiu... – Antoś podrapał się za uchem i spojrzał na Basię. – Znasz się pewnie na matematyce i tej, no, fizyce?

Marysia zmarszczyła brwi.

– Raczej chciałabym się znać. Jeszcze niewiele potrafię.



TAK WYGLĄDAŁA  
MARYSIA  
SKŁODOWSKA,  
GDY SPOTKALI JĄ  
BOHATEROWIE  
TEJ  
KSIĄŻECZKI!



A TAK WYGLĄDAŁA  
JAKO MARIA  
SKŁODOWSKA-CURIE,  
SŁYNNA PANI  
NAUKOWIEC.  
CZY ZGADNIECIE,  
JAKI DESER  
LUBIŁA  
NAJBARDZIEJ?...  
ODPOWIEŹ  
NA DOLE!

WIŚNIE W CZEKOLADZIE

– Bo hmm... Mamy tutaj takie coś. – Antoś wyciągnął z kieszeni pilotopodobny otwieracz czasoprzestrzennego mostu-dziury. – I to jakoś nie działa... w każdym razie nie działa jak trzeba. Co o tym myślisz? Tylko ostrożnie, nie naciskaj zielonego guzika!

Marysia delikatnie wzięła otwieracz i obróciła w dłoniach.

– Co to jest? – spojrzała podejrzliwie na dzieci.

– No... to otwiera dziurę do podróżowania w czasie i przestrzeni. Tylko nie możemy trafić tam, gdzie chcemy, czyli do domu.

Marysia mrugnęła oczami raz, potem drugi, ale nic nie powiedziała. Ponownie spojrzała na urządzenie.

– Oprócz zielonego guzika jest z tu drugiej strony jeszcze takie małe płaskie pokrętko – powiedziała. – Widzieliście to? Ma dwie pozycje „Skok” i „Powrót” i jest ustawione na „Skok”. To może przestawię na „Powrót”?

– Tak! – krzyknęli chórem Antoś i Basia.

– No dobra, przestawione – powiedziała Marysia i oddała dzieciom otwieracz. – Co dalej?

– Teraz spróbujemy – powiedziała Basia i drżącym palcem nacisnęła zielony guzik.

Pod ścianą kamienicy, w letnim powietrzu pojawiła się znikąd znajoma dziura. Marysia otworzyła buzię ze zdumienia, a Antoś kucnął i wrzasnął z radości.

– Udało się! Widzę nogi wujka, jego pokój, jego dywan!

– Hura! – krzyknęła Basia. – Marysiu, bardzo ci dziękujemy! Będziesz sławna! Wraz z Fafikiem wskoczyli do dziury.

**Przejdź na stronę 49.**

## XX wiek, 1908 rok

– Uważaj jak chodzisz, pacanie!

Antoś nawet nie podniósł głowy na szczerbatego ulicznika, który minął go w pędzie.

– Łobuz, potrąciłby cię! – powiedziała Basia.

Antoś wzruszył ramionami. Włókł się krok za krokiem, wbiwszy wzrok w bruk placu Zamkowego.

– Nic mnie to nie obchodzi. Chcę do domu.

– Hej, zobacz! – krzyknęła Basia. – Tym razem jesteśmy bliżej naszych czasów. Wszędzie wiszą kable i druty, widzę zabytkowy samochód, a ku nam jedzie tramwaj! O, i drugi!

Najwyraźniej to właśnie ku tramwajom biegł i ulicznik, i inni mieszkańcy Starego Miasta. Wokół kolumny króla Zygmunta i nawet na kolumnie kłębili się liczni gapie, krzycząc i wiwatując na widok elektrycznych wozów w ciemnowiśniowym kolorze, które dostojnie wjechały na plac Zamkowy.

Antoś tyknął w kierunku zbiegowiska i rozchmurzył się nieco.

– No rzeczywiście. Który to może być rok? Podejźmy bliżej, może się dowiemy. Chodź, Fafik!

Tramwaje tymczasem wolno ruszyły szeroką ulicą, łagodnie opadającą ku Wiśle i ku mostowi opiętemu potężną kratownicą.

– Fajnie byłoby się przejechać – powiedziała Basia. – Ciekawe, ile kosztuje bilet.

– Jak dla was to pewnie sześć groszy. Ja mam trzynaście lat, więc muszę płacić dziesięć.

Za nimi stał chłopiec w olbrzymich okularach.

– Ale już jechałem tym cudem – kontynuował z dumą. – Zaraz drugiego dnia po tym, jak je uroczyście uruchomili na placu Krasińskich. Pamiętna to będzie data, dwudziesty szósty marca tysiąc dziewięćset ósmego roku! Nareszcie człowiek czuje, że żyje w cywilizowanym mieście.

– Tysiąc dziewięćset ósmy... – Antosiowi zrzęda mina.

– No – kiwnął głową chłopiec. – Nie dość, że tramwaje – o, proszę, osiemnastka jedzie! – to i Trzeci Most budują, który już Poniatoszczakiem zwie ulica, i wielgachny drapacz chmur Cedergrena świeżo ukończony – najwyższy w Europie! – i jeszcze do kina można iść! Co prawda – westchnął – na to, co bym chciał zobaczyć, i tak mnie nie wpuszczają. W „Oazie” grają od paru dni film „Antoś pierwszy raz w Warszawie”, ale dla dorosłych.

– A jak się nazywasz? – zapytała Basia.

Chłopiec uśmiechnął się i poprawił okulary.

– Antoni Słonimski, do usług! A wy? Skąd jesteście?

Antoś i Basia przedstawili się i powiedzieli, że zwiedzają Warszawę.

– No proszę, to w gruncie rzeczy mogę z wami połączyć i pokazać to i owo. Powinienem być w szkole, ale chwilowo mnie wywalili.

– Za co? – zdumiał się Antoś.

Chłopiec uśmiechnął się nieco złośliwie.

– Poradziłem profesorowi historii, że skoro już musi dłubać obsadką pióra w nosie, w uchu i w zębach, żeby przynajmniej zmienić kolejność.

Dzieci spojrzały na nowego znajomego z podziwem i grozą.



**TAK WYGLĄDAŁ PŁAC ZAMKOWY  
W CZASACH MŁODOŚCI ANTONIEGO  
SKONIMSKIEGO - TO WŁAŚNIE ON  
W STROJU CHKOPIĘCYM Z TAMTYCH LAT.  
NAPRAWDĘ NAPISAŁ KSIĄŻKĘ  
TORPEDA CZASU!**

– To co? – zapytał. – Może się przejedziemy elektrowozem na Pragę? Pędzi jak torpeda, całe dwanaście kilometrów na godzinę!

We trójkę – oczywiście z Fafikiem – podeszli do przystanku tramwajowego.

Nagle Basia chwyciła się za kieszeń.

– Antosiu, otwieracz mostu coś dziwnie byczy – powiedziała cicho i zerknęła na urządzenie. – O nie! – krzyknęła z rozpaczą.

– Co się stało?! – zawołali naraz Antos i chłopiec w okularach.

– Przestał migać! – Basia nacisnęła zielony guzik, nic się jednak nie wydarzyło.

– Nie działa! Pewnie bateria padła! Niby gdzie ją kupimy?! Jak my teraz wrócimy do domu?!

– Durny złom! – wrzasnął Antos, wyrwał Basi pilota i rzucił przed siebie.

Z napiętych drutów trakcyjnej elektrycznej błysnęło oślepiająco i huknęło tak, jakby tuż obok uderzył piorun. Tłum dookoła wrzasnął i zasłaniając oczy, rzucił się do ucieczki, zaś Basia z Antosiem krzyknęli z radości. Między torami tramwajowymi obok rozlanego w dymiącą plastikową kałużę pilota otworzyła się dziura. Nieduża, ale jednak. Było przez nią widać bury dywan z pokoju wujka Ambrożego.

– Hura! – odwrócili się do stojącego z otwartą buzią chłopca w okularach. – Wracamy do naszego czasu! – krzyknęli i ciągnąc Fafika wpadli do dziury.

Młody Antoni Słonimski zamrugnął oczami.

– Tramwaj... podróż... torpeda... czasu... – wyszeptał i zemdłał.

**Przejdź na stronę 47.**



# KONIEC 1

– Wujku! – wrzasnęli Antoś i Basia, rzucając się na zafrasowanego i szarpiącego brodę Ambrożego. Wujek podskoczył tak wysoko, że zawadził czupryną o sufit.

– Antoś! Basia! – ryknął, przytulając obydwójce. – Tak się martwiłem!

Przez dłuższą chwilę tylko się ściskali i płakali z radości.

– Jak dobrze, że jesteście cali i zdrowi!

Antoś i Basia odsunęli się nagle.

– Ale w domu muszą się strasznie martwić!

Wujek pokręcił głową.

– Nie, na szczęście! – westchnął. – Nie było was najwyżej piętnaście minut.

Ja chyba jednak zdążyłem posiwieć – powiedział, zerkając na włosy i brodę i robiąc niechcący komicznego zeza.

– Co? Przecież byliśmy tam chyba ze trzy dni! Podróżowaliśmy w czasie przez różne wieki Warszawy.

– Tak myślałem – mruknął wujek. – Bardzo się bałem, że coś niechcący narozrabiacie. Co prawda zasada pana Igora Nowikowa głosi, że podczas podróży w przeszłość narozrabiać się nie da – mniej więcej tak, jak nie da się przejść przez ścianę – ale kto to tam wie. Przeglądałem internet i... Coś wam się przecież udało zrobić, sami zobaczcie! – wskazał palcem monitor komputera.

– „Odkrycie nieznanego rękopisu utworu Fryderyka Chopina” – Basia przeczytała głośno tytuł artykułu z serwisu prasowego. – „Na aukcji w Paryżu

anonimowy kolekcjoner wystawił zagadkowy, całkowicie obcy badaczom Mazurek skreślony ręką kompozytora, dedykowany Basi i Antosiowi. Kim byli tajemniczy adresaci dedykacji? Tego zapewne nie dowiemy się nigdy."

– Jeju! – krzyknęły dzieci. – Myśmy sami Fryderyka o to prosili!

Wujek z niedowierzaniem podrapał się po głowie.

– Wciąż pada, więc i tak do domu nie pójdziecie – powiedział. – Zrobię herbatę i kanapki, a wy mi musicie wszystko opowiedzieć!

## KONIEC 2

– Wujku! – wrzasnęli Antoś i Basia, rzucając się na zafrasowanego i szarpiącego brodę Ambrożego. Wujek podskoczył tak wysoko, że zawadził czupryną o sufit.

– Antoś! Basia! – ryknął, przytulając obydwójce. – Tak się martwiłem!

Przez dłuższą chwilę tylko się ściskali i płakali z radości.

– Jak dobrze, że jesteście cali i zdrowi!

Antoś i Basia odsunęli się nagle.

– Ale w domu muszą się strasznie martwić!

Wujek pokręcił głową.

– Nie, na szczęście! – westchnął. – Nie było was najwyżej piętnaście minut.

Ja chyba jednak zdążyłem posiwieć – powiedział, zerkając na włosy i brodę i robiąc niechcący komicznego zeza.

– Co? Przecież byliśmy tam chyba ze trzy dni! Podróżowaliśmy w czasie przez różne wieki Warszawy.

– Tak myślałem – mruknął wujek. – Bardzo się bałem, że coś niechcący narozrabiacie. Co prawda zasada pana Igora Nowikowa głosi, że podczas podróży w przeszłość narozrabiać się nie da – mniej więcej tak, jak nie da się przejść przez ścianę – ale kto to tam wie. Przeglądałem internet i... Coś wam się przecież udało zrobić, sami zobaczcie! – wskazał palcem monitor komputera.

– „Uniwersytet publikuje nieznany list Marii Skłodowskiej-Curie” – Antoś przeczytał głośno tytuł artykułu z serwisu prasowego. – „Wśród rodzinnych

pamiętek po wielkiej uczonej jej prawnukowie odkryli i przekazali Polsce nieznaną wcześniej list. Maria Skłodowska opowiada w nim swemu przyjacielowi – Albertowi Einsteinowi – przypomniany sobie niezwykle sen z dzieciństwa, w którym spotkała dwoje dzieci podróżujących w czasie i przestrzeni, i w zabawny sposób przekonuje Einsteina, by ów sen zainspirował go do badań nad tym szalonym pomysłem.”

– Jeju! – krzyknęły dzieci. – To nie był jej sen! Myśmy naprawdę Marysię... to znaczy panią Marię spotkali!

Wujek z niedowierzaniem podrapał się po głowie.

– Wciąż pada, więc i tak do domu nie pójdziecie – powiedział. – Zrobię herbatę i kanapki, a wy mi musicie wszystko opowiedzieć!

Copyright © 2020 by Stowarzyszenie Przewodników Turystycznych „Złota Kaczka”

Warszawa 2020

978-83-938686-2-9

Wydawca

Stowarzyszenie Przewodników

Turystycznych „Złota Kaczka”

[www.zlotakaczka.waw.pl](http://www.zlotakaczka.waw.pl)

+48 692 002 170



# Dyplom

za starówkową podróż w czasie

otrzymuje



Wytnij i powieś na ścianie :)



